

# DIABELSTWA WITKACEGO

**JERZY KRASSOWSKI** — najlepszy shyba współczesny reżyser sztuk Witkacego zaprosił swą publiczność do Mordowaru, czyli miejsca, w którym rozgrywa się akcja napisanej w roku 1925 „Sonaty Belzebuba”. Widowisko to ma kilka warstw: jedni z przyjemnością obejrzą koncertowy show w wykonaniu znakomitych aktorów, inni zabawią się znakomitymi choć — jak to zwykle u Witkacego — gorzkimi dowcipami, przystającymi do każdej współczesności, innych wreszcie zapewne zastanowi sprawa autentycznego dramatu twórcy, którego ogarnęła niemoc i poszukuje możliwości przekazania tego wszystkiego, co mu „w duszy gra”. Bohater wprawdzie poszukuje dojścia do „czystej formy”, ale sprawa ma wymiar bardziej uniwersalny i można traktować owe męki twórcze jako pewne uogólnienie zmagania myśli i materii dzieła, będących w stałej sprzeczności z twórczymi pomysłami oraz przekonaniem artysty, iż wcióż nie udaje mu się stworzyć dzieła na rzeczywistą miarę własnego talentu. Witkacy nie byłby sobą, gdyby owych dobrze znanych także i z własnego doświadczenia męk twórczych nie potraktował w sposób groteskowy. Ale ta groteska nawiązuje do największych tradycji kultury europejskiej, mówiącej o sprzedawaniu duszy diabłu za cenę mądrości czy tworzenia wielkich dzieł sztuki.

Szatan za wysoką cenę gotów jest — w myśl starych traktatów ezoterycznych — dopomóc człowiekowi w męce twórczenia. Z tym jednak, że znawcy szatańskich mocy kreacyjnych ze starych kręgów wtajemniczenia przyznawali mu w tym zakresie nieomalże boskie atrybuty. Witkacy przekornie pomniejsza rolę owego wszechobecnego Zła: może ono stworzyć warunki, lecz największym dramatem diabła jest właśnie to, iż sam nie ma mocy kreacji twórczej i prawdę powiedziawszy bardziej przypomina recenzenta, teoretyka sztuki czy też może naszego współczesnego decydena od kultury, który wie lepiej, jak być powinno — ale sam nie potrafi. Dlatego też miota się gwałtownie między podziwem dla Broniewskiego a balwochwalczym kultem Miłosza. Dlatego też szatańskość Joachima Baltazara de Campos de Baleastadar (w koncertowym wręcz wykonaniu Bogusza Bilewskiego) jest dosyć podejrzana. Ten Książę Piekieł, występujący we wcieleniu brazylijskiego plantatora w swej istocie jest diabłem niewielkiego formatu; wersji raczej kabaretowej niż prawdziwie piekielnej. Sądzę, iż w tym przejawiał się dodatkowy, złośliwy podstęp Witkacego. Każdy z twórców ma taki kaliber piekła, na jaki pozwala wymiar jego własnej genialności. Wiadomo zaś, że geniusze nie rodzą się na kamieniu. Natomiast bywają geniusze finansowi, rodzący się na gruncie kabaretu, są oni w stanie i dobrze zarobić, i jeszcze we własnym mieszczańsko-pólinteligenckim środowisku uchodzić za prawdziwych intelektualistów. Czasami może się wydawać, że Witkacy pisał swą „Sonatę”, przeczuwając istnienie różnych naszych ulubieńców z przelomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. „Póki trwa sztuka, ja istnieje” — powiada diabeł — plantator. Nie dodaje jednak, czy ma być to sztuka przez małe czy wielkie „S”. A ponieważ część akcji rozgrywa się w kabarecie — nie wskazuje to na ponadczasowy i metafizyczny jej wymiar. Myślę więc, że zamysł Witkacego jest w swej istocie wyjątkowo łatwy do odczytania — to prześmiewanie się z namaszczenia, z jakim artyści traktują się, szczególnie wówczas, gdy pragną kontynuować współcześnie romantyczne i modernistyczne wizje Świątyni Sztuki, Artysty Maga; Arcykaplana czy nawet Archaniola.

Gdyby Witkacy żył w naszych latach osiemdziesiątych być może powstałaby kolejna „Sonata Belzebuba”, w której owi archaniołowie przemaszkaliby w strajkowym korku ulicznym czy tworzyliby chóry anielskie w świątyniach, zabawni playboye kreowałiby zwierciadła cnót moralnych, a bywsze ponętne boginie seksu przeistaczałyby się w świątynne Panny Mądre (i te drugie też).

Ale istnieje także i tzw. drugie dno bytowania artystycznego, które przeziernie nie tylko w omawianym dramacie, lecz nader często w życiu. Ulubieńcy, zbyt wysoko postawieni na twórczy piedestał przez różne szatańskie moce w pewnej chwili odczuwają własną wielkość zbyt boleśnie, zdając sobie sprawę, iż wieńce laurowe dawano im zbyt pośpiesznie. Próbuja więc sprostac wyobrażeniom o sobie w różny sposób. Jedni oskarżają świat o nieczulość względem ich subtelnego ego, inni — poszukują odmiennych niż własna nikła twórczość, pól działania w awanturnictwie politycznym. Bywają jednak i tacy, których zalamuje niemożność i niemoc przekonania samego siebie o walorach przeszłych, a zwłaszcza przyszłych dzieł. W takich przypadkach samobójcza śmierć jest dopełnieniem własnej klęski. Może także nadzieją, że zapewni większą trwałość, bo połączoną z legendą, ich utworom. Śmierć samobójcza samego Witkacego ma jednak o wiele bardziej skomplikowane i dramatyczne powody.

Bardzo konsekwentnie przeprowadzony zamysł reżyserski Krassowskiego znalazł doskonałych odtwórców wszystkich ról, poczynając od A. Zawieruszkanki jako Babci Julii, H. Kossobudzkiej — Baronowa; demoniczna Hilda, czyli K. Mikołajewska oraz jej kochanek — Baron Hieronim towarzyszyli znakomicie innej parze: kompozytorowi Istvanowi — T. Budycie i E. Serwie w roli Krystyny. Nie można pominąć tu prawdziwej kreacji Ciotki w wykonaniu J. Polanowskiej oraz męskiego baletu girlserek w piekielnym kabarecie. Komplikacje rodzinne, obyczajowe i wszelkie inne starał się wyjaśnić Teobald Rio Zamba — J. Nalberczak w duecie ze wspomnianą już wcześniej Zawieruszkanką, która z początkowej normalnej starszej pani na naszych oczach przeistacza się w prawdziwą piekielnicę.

Publiczność bawiła się wspaniale, ponieważ sztuka jest i dowcipna, i widowiskowa. Ale... na sali dostrzegłam sporo artystów i twórców różnych pokoleń i starałam się w sposób dyskretny podpatrzeć ich reakcje. Wyznam wam w tajemnicy, iż tym widzom wcale nie było tak wesoło, jak reszcie. Oni nie umieją oglądać tego typu spektakli w sposób spontaniczny, szybko bowiem chwytają to, co niezrównany sztycherca adresował do ludzi swego środowiska po to właśnie, by nie mieli spokoju nawet wówczas, gdy przyszedli do teatru, a po scenie biegają diabły z rogami i ogonami do obcięcia. Cóż, nikt nie obiecywał lekkiego życia ludziom myślącym.